

- Archiwa „bibuły” — gdzie przechowuje się dziś dawne wydawnictwa podziemne
- W drugim obiegu — o zaletach stosowania pa sty „komfort”
- Jak drukowałem pierwszy numer „Zapisu” — wspomnienia drukarza
- Krótka historia wydawnictw poza cenzurą

Wenecjański „Stary”

Teatr elegancji, precyzji i stylu — pisze Hanna Baltyn o warszawskich występach krakowskiego Teatru Starego

Dni Teatru Starego w Warszawie to rzadka możliwość sprawdzenia sądów na temat polskiej „Comedie Francaise”, jak z dumą nazywa swą scenę Tadeusz Bradecki. Powodem, by uznać występy krakowian za wydarzenie — potwierdzone znakomitą frekwencją warszawskiej publiczności — jest „Venezia, Venezia” Giovanniego Pampiglione. Teatru tak eleganckiego, precyzyjnego, stylowego, tak natchnionego tradycją XVIII wiecznej komedii, której przejście od dell'arte, do zapisanego, literackiego tekstu dokonało się za sprawą Carla Goldoniego, od lat nie widzieliśmy w Stolicy.

Już sam afisz jest znakomity. „Venezia, Venezia” (tytuł nostalgiczny, jak „Wielopole, Wielopole” będący echem wołania w głąb czasu) opiera się na „Bliźniakach weneckich” Goldoniego, jedynej komedii z nieboszczykami u tego radosnego autora (przekład Joanny Walter). Prostą dekorację, złożoną z blejtramów, malowanej kurtyny i prospektu ściany z okienkiem, zasłaniającego czasem jasny ekran, zaprojektował Kazimierz Wiśniak. Stylizowane, dowcipne kostiumy, nawiązują-

ce do wzorów znanych ze starej ikonografii, narysował Jan Polewka. Jedynie amanci nie noszą tu masek — reszta ma, jak w komedii all'improviso, ptasie, groteskowe profile.

Na scenie widać aktorów, plastycznych, wyrazistych jak postacie uwiecznione w saskiej porcelanie przez Kaendlera. Ich ruch przypomina zasady „klasycznej” gry, zapisane choćby w „Mimice” Bogusławskiego. Baletowe pozycje i podskoki, gesty po linii koła, od przedramienia poczynając. „Venezie” charakteryzuje pod tym względem dyscyplina i luz, cechy, zdawałoby się, nie do pogodzenia. Każdy gest znaczy.

Gdy Pancrazio (Jerzy Świąć) przekonuje mądrego bliźniaka, że „małżeństwo to ciężar dla duszy, ciężar dla ciała, ciężar dla kiesi i ciężar dla głowy”, jego ruchliwe, drapieżne jak szpony dłonie w czarnych rękawiczkach układają się w oczywisty symbol rogów. Gdy Beatrice (Beta Fudalej) wpada w szal z zdrójści, jej szpicruta, jak przedłużenie ręki, co chwila dramatycznie godzi w niebo. Gdy Florindo (Jan Monczka) do-

staje kosza, oczy w słup, zataczający się chód, zaplątane nogi i rozpaczliwe gesty budzą brawa i współczucie.

Każda postać porusza się inaczej — Arlekin (Leszek Zduń) ma podrygujący, niespokojny chód, Brighella z wypchanym brzuchem (Rafał Jędrzejczyk) stale wykonuje podskoki, Kolumbina (Ewa Kolańska) kolebie tiurniurą niczym wańka-wstańka,

strażnik (Maciej Luśnia) człapie jak pijany bociek, podły Pancrazio stale jest zgięty w paragraf, a butny Lelio (Jacek Romanowski) tak zadziera nosa, że patrzy tylko w górę. Bliźniak głupi chodzi na krzywych nogach, bliźniak mądry stąpa dziarsko i fechtuje dzielnie. Świetna to rola Szymona Kuśmidra, z gatunku tych, o których marzy każdy aktor, polegająca na błyskawicznej transformacji, momentalnej metamorfozie.

Nie ma to przedstawienie nic z cyrkowej clownady, nic z wyglupu. Nie śmiesz za wszelką cenę,

za to w sposób oczywisty budzi podziw popisem reżyserkiego i aktorskiego warsztatu. Jest w nim ironia — gdy bliźniak mądry komentuje cudowne odnalezienie zaginionej w niemowlęctwie siostry i spotkanie w Weronie trójki weneckiego rodzeństwa, powiada — to nieprawdopodobne, zupełnie jak w teatrze.

Jest i smutek, namysł nad tym, jak niewiele z nas pozostaje, i hołd reżysera dla ginącego powo- li, wspaniałego miasta na wodzie. Ostatni obraz sceniczny, po rozwiązaniu wszystkich perypetii, to rozdwojająca się, ginąca w niebycie wizja zamglonej, choć rozświetlonej Wenecji. I na jej tle czarna, smutna sylwetka Tonina.

Spektakl pożegnała długa owacja,

podobna oklaskom, które wcześniej zegnały „Wujaszka Wanię” Czechowa w reżyserii Roberta Zioly. Bardzo piękne, przejmujące przedstawienie, zakończone obrazem nieruchomych, po rembrantowski oświetlonych, zamkniętych w klaustrofobicznej przestrzeni ludzi.

„Jak wam się podoba” Szekspira w reżyserii Tadeusza Bradeckiego wypadło z tej trójcy najgorzej. Nie wiadomo, o czym i w jakiej sprawie reżyser przedstawił. Wydaje się że aktorzy też tego nie wiedzą. Przekład Słomczyńskiego brzmiał topornie i nieśmiesznie.

„Służyć za zwierciadło naturze, pokazywać cnotcie własne jej rysy, złości żywy jej obraz, a światu i duchowi wieku postać ich i piętno” — te wzięte z Szekspira słowa Teatru Stary wpisuje jako motto w swoje programy. W Warszawie Krakowianie przekonali, że mają do tego pełne prawo. Potrafią grać w różnych stylistykach. Zwłaszcza w „Venezii, Venezii” pokazali, co można na scenie osiągnąć, dowiedli, że są teatrem, gdzie szanuje się słowo, gdzie podstawowym atutem jest zespół wielu aktorskich pokoleń. Grający rocznie ponad 600 przedstawień teatr jest zdolny do wątpienia we własną doskonałość, a nade wszystko próbuje — zgodnie z duchem czasu — szukać środków aktorskiego wyrazu przystających do nowej, dopiero kształtującej się wrażliwości.

HANNA BALTYN



Scena z przedstawienia „Venezia, Venezia”